№ 32.

TYGODNIK POLSKI.

Pismo poświęcone literaturze, obyczajom i strojom.



Lwów, 5 sierpnia 1848. **Rok dziewiąty.**

Wychodzi co sobota. Przedpłata z rycinami, rocznie 10 zr., półrocznie 5 zr., bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. m. k. Na prowincyi dopłaca się za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. m. k. We Lwowie przyjmuje się także prenumerata kwartalna, z rycinami 2 złr. 30 kr., bez rycin 1 złr. m. k. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem wydawcy, Tomasza Kulczyckiego, nr. 301 we Lwowie.

„Słowo a Sława.

Pieśń na pierwsze Wiece Słowian obwołane do Pragi czeskiej na wiosnę roku pańskiego 1848.“

W pierwszych dniach czerwca, kiedy w nadmołdawskiej stolicy wysłańcy rozległych dziedzin słowiańskich wśród weselnych okrzyków „Sława! Sława!“ na pierwszy wszechsłowiański wiec się zbierali— w klasycznym zakątku ziemi polskiej, ulubiony poeta polski ułożył im pod przytoczonym powyżej napisem pieśń powitania.

Pieśń-to o szeroko rozpostartych skrzydłach i o wysokim polocie, równie trudna do uklasyfikowania w jednej z przyjętych dotąd rubryk poezyi, jak trudnym też jest ów pierwszy wiec wszechsłowiański do realnego w swej politycznej formie i wadze orzeczenia. Dla pieśni, mieszczącej w sobie wszelkie żywioły epopei i liryki, zda się nam najwłaściwszą prosta, a jednak tyle wymowna starosławiańskich poematów nazwa — „Słowo“; jej przedmiot zaś, o ile nie wyłoniony jeszcze dostatecznie z chaotycznej mgły pierwiastkowości, zdaje się o tyle właśnie do poetycznego zobrazowania przydatnym. Dzisiejsza pora ruchu wszechsłowiańskiego jestto jego heroiczna, uczuciowa pora; ztądteż jak mało powinowactwa sam rozum polityczny w tej sprawie upatrywał, jak ostrożnie zimna rozwaga do spółudziału w niej przystępować radziła; tak żywem przeciwnie spółczuciem przyjmujemy ten poetyczny jej wyraz, a okoliczność, że właśnie literatura polska „Słowo“ dzisiejszego ruchu słowiańskiego wyrzekła, jest nie tylko zaszczytną dla nas samych pociechą, lecz ponoś najżywotniejszego dla całej słowiańszczyzny znaczenia.

Zanim to wieszcze „Słowo“ po słowiańszczyznie zabrzmi, śpieszymy z radością podać naszym ziomkom i miłym pobratymom pierwszą wieść o niem. Składa się ono z kilku pieśni. Każda zaczyna według dawnego lirniczego zwyczaju, przygrywką, stosownie do osnowy każdej szczególniej pieśni, urozmaiconą. Pierwsza zseła powszechne pozdrowienie:

„Ponad Mołdawą a w czeskiej Pradze,
Na pierwsze ludów zebranie,
Zwyczajem ojców, w ojców powadze
Stanęli bracia Słowianie.

Cokolwiek będzie — o bracia cześni!
Cokolwiek Bóg nam przeznaczył,
Słowiańskich godów niema bez pieśni,
Bo Bóg nas Słowem uraczył.

I naprzód chwała na wysokości
Niech będzie Panu nad wszemi!
A pokoj ludziom bratniej miłości
I dobrej woli na ziemi!

I mir narodom, ziemi i morzu!
Mir pokoleniu sławnemu!
Błogosławieństwo pracy i zbożu!
A rosę nieba każdemu!

Inaczej było niż się dziś dzieje,
I inny świat już nastanie;
A jakie były przeszłe koleje,
To wam wyśpiewam Słowianie!...“

Poczem opowiada pieśń z biblijną prostotą historyę stworzenia nowoczesnej społeczności europejskiej, i wznosząc się spokojnym lotem orła w ponaddziejową wysokość, okazuje rozrośnienie się ludzkości na trzy

wielkie konary, następnie ukształtowanie się w zachodnim świecie owego ładu społecznego, gdzie

„...ojciec święty w kościele głową
A cesarz świata był panem“;

z czego dalej wszczął się bój pomiędzy władzą duchowną a świecką, pomiędzy Słowem a mieczem, aż „Słowo padło, a miecz zwyciężył!“,—aż Słowo niezrozumiałem przeto ludom się stało, a ludy podzieliły się na głuche i na nieme,

„*Głuche* na słowo boże odwieczne,
Nieme, bo rzec go nie mogą!“

Jestto wstęp pełen głębokiej treści, prowadzący nas wreście do trzeciej ludów gromady, do naszego własnego domu, do rodzimej ziemi słowiańskiej.

„Myśmy tu wzrośli jak lasy rosną,
Razem z tym dębem i sosną,
„Słowo“ od Boga dane w ojczyźnie,
„Sława“ od ojców w spuściźnie.

„Słowa a Sławy“ prawi dziedzice,
B e z k r z y w d y dobro to dzierzym,
Od Boga ojcom dane ziemice,
I w co wierzyli, w to wierzym!...“

W drugiej części pieśń po swoim historycznym polocie spuszcza się ponad zgromadzenie wiecowe w Pradze i muska skrzydłem tę świętą ziemię, która je gościną przyjęła, i rozpatruje się w różnodziejowem licu tej spółplemiennej drużyny, która na niej do pierwszej wszechsłowiańskiej biesiady zasiadła.

„Ponad Mołdawą a w czeskiej Pradze,
Na pierwsze ludów zebranie
Zwyczajem ojców, w ojców powadze
Stanęli bracia Słowianie!

A świat się pyta: „I cóżto będzie?
Wszakże to ludy nie zbrojne?
I cóż uradzą?“— słychać głos wszędzie—
„Może wydadzą nam wojnę?“

———

Mołdawo czeska, ty krasawico!
Ty zaszum światu z kolei,
Prago! ziem naszych wielka strażnico!
Ty przemów głosem nadziei.

Na świętych grobach Pan Bóg natchnienie,
Zséła i wielkie przeczucie,
A gry wód świętych, niby sumienie
Ludu, wtorują tej nucie...

Na świętych grobach śluby są święte,
I jako Słowo, stateczne,
Czyste, jak wody w źródłach poczęte,
A jako morze, tak wieczne.

Od owej bitwy pod Białą—Górą
Jako grób milczysz ty Prago!
I ty Mołdawo płyniesz ponuro,
I tylko z śmierci powagą...

Zwiń się w twych nurtach, nim zbiegniesz w morze,
Wynieś co chowa twe łoże!
I niech tej głębi nurt twój dosięże,
Gdzie leżą Żyszki oręże.

Nam nie do boju oręży trzeba;
Lecz oręż Żyszki był krzyżem!
My pod tym krzyżem zaklniemy nieba,
I serca Bogu uniżem.

Ze Sławą ojców i z Słowem bożem
My dziś staniemy przed światem —
Jak pługiem, prawdą serca wyorzem,
I każdy będzie nam bratem.

. . . .

Lecz komuż bracia na tej biesiadzie
Pierwszy się uścisk należy?
Któż się najpierwszy w dłonie uderzy
Na znak sojuszu w tej radzie?

Wam pierwszy uścisk bracia Czechowie!
Bo my tu u was w gościnie,
Wam pozdrowienie, szczęście i zdrowie,
I wszystkiej waszej krainie!

Wyście wasz „kielich“ spili aż do dna!
A my — my niesiem „krzyż“ wiernie,
I ludów „Słowa“ ofiara godna
Chrystusa kielich i ciernie!

My wam o bracia z ziemi otwartej
Ślemy po Słowie pieśń daną,
Jak Tyrteusza z Aten do Sparty
Przed wieki niegdyś posłano.

A teraz uścisk idzie z kolei
Wszystkim po Sławie i Słowie!
Braciom miłości, wiary, nadziei,
Daj Boże szczęście i zdrowie!

Serce mi w piersiach rośnie jak morze,
Kiedy na pełni przybywa,
I jako orzeł obłoki porze,
Myśl się ku słońcu podrywa.

Kiedy pomyślę, że różne kraje,
Że różne ślą was narody,
Że wam Bóg Słowo w usta podaje,
I wiedzie sam do swobody.

Ale o bracia! na tej biesiadzie
Bolem się także krew ścina;
Bo brak „jednego“ w narodów radzie,
Bo niema brata — Kaina!

A i on przecie prosty i dzielny,
Choć jak kat dziki i krwawy—
A i w nim przecie duch nieśmiertelny,
Choć dziś bez Słowa i Sławy.

Ja sam ostrzyłem broń mego ludu
Na karki carskich siepaczy,
Pókim nie doznał miłości cudu,
Nie wyrwał Słowa z rozpaczy!

I nigdy więcej nie tknąłbym strony,
Lecz milcząc Bogabym chwalił,
Gdyby ten naród — brat zatracony
Bogu ofiarę zapalił.

Ja dziś przebaczam krzywdę ojczyzny,
Jak każe Słowo i Sława,
Chociaż otwarte jeszcze jej blizny,
Choć jeszcze dusza jej łzawa.

Ja mu przebaczam! i wy przebaczcie!
Bo więcej od nas jest bieden—
I nie złorzeczcie ale zapłaczcie,
Bo taki — został on jeden.

Niech się w łzach naszych ze krwi obmyje,
Niechaj się z Bogiem pogodzi,
Niechaj dla Słowa, Sławy odżyje —
Niech się dla świata odrodzi...“

Następna część przybiera barwę dydaktyczną. Wszakże zawarta w niej nauka, nie płową teoryą, ale głębokiem zapatrzeniem się w życie i naturę plemienia natchniona, płynie tak żywem słowem, że nie dostrzedz tu wcale różnicy, jaka zachodzi zwykle między raźno i promiennie falującym potokiem liryki i epiczności a jednostajną suszą dydaktyzmu.

„Po nad Mołdawą a w czeskiej Pradze,
Na pierwsze ludów zebranie,
Zwyczajem ojców w ojców powadze
Stanęli bracia Słowianie.

Cokolwiek wyjdzie o, bracia cześni!
Z tej naszej bratniej biesiady,
Słowiańskich godów nie ma bez pieśni,
A wieców nie ma bez rady.

Inaczej było niż się dziś dzieje,
I inny świat już nastanie;
A jak wam stąpać w przyszłe koleje:
To wam wyśpiewam Słowianie.“

Kiedy „synowie gwałtu zmierzłe dzieje, w trwogach skonania już kończą“ — wy

„... obwołajcie na wszystkie kraje
Głosem natchnienia bożego:
„Słowo“ co pokój nie wojnę daje,
„Sławę“ bez krzywdy bliźniego.

Nie jestto Słowo i Sława ludów zachodu; więc po pięknem przestrzeżeniu przed zbytnią skwapliwością władania ludem naszym według „trudów zachodnich“ następuje napomnienie do „żywej dziatwy“ słowiańskiej:

„Nie obcą myślą tobie dziś ożyć
Po długim, długim odłogu —
Umiałaś cierpieć, potrafisz tworzyć,
Lecz ufaj sobie i Bogu.

A ciepłem twojem tylko swoboda,
Bo ona wszystko odrodzi;
Resztę da praca, ziemia i woda,
A pieśń ci żywot osłodzi.

Ty wiece twoje sprawuj swobodnie,
A co uchwalisz czyń pilnie.
Dziećmi surowo, prawem łagodnie.,
A już gromadą rządź silnie.

U nas gromadą stały narody;
Lecz z niej niech rośnie powaga —
Kto wolnych skupia wrogiem swobody,
Bo mienie wolność wspomaga.

Wolność to własność i innej nie ma,
I innej u nas nie będzie.
Więc niechaj tylko ziemię lud trzyma
I niech szeroko zasiędzie.

. . . .

Tylko na wiecach i miejscach świętych
Wy się zlewajcie jak morze,
Ale gromada niech sobie orze......
I dzieł niech patrzy poczętych.

. . . .

Taką stoj siłą i taką wolą,
A nie krwi żądzą i złota;
Dzieci się twoje już nie rozbolą,
Bo będzie wielka prostota...“

Dalszy śpiew wraca do liryki, i owszem coraz spanialszym bujając lotem, odpowiednio pierwszemu spiewowi, spiewającemu „przeszłe koleje“, rozwija skrzydła w przyszłość.

„Bóg z tobą wiaro! gdy natchnął ciebie
Twoich naddziadów zwyczajem,
Kiedy na wiecach chcesz się u siebie
Naradzać z sobą nawzajem.

Wiece cię zbawią— bo w okoł swiata,
Jak tylkoś zasiadł daleko,
Schadzać się będziesz już co trzy lata
Kędy dunaje twe cieką.

I co trzy lata zawdy na Jana
Nad innym staniesz dunajem,
I wzniesiesz naprzód głosy do Pana,
A potem „Słowo“ za krajem.

I na trójlecia odtąd już liczyć
Będziesz twoj żywot i sprawy,

A póki Słowo, póty blask Sławy
I szczęście będziesz dziedziczyć...."

Poczem wreszcie, zawijająca już do przystani pieśń kończy zwrotem do Polski.

Oto fragmentaryczny szkic naszego poematu — jednego z rzadkich dźwięków harmonii w dzisiejszym rozstroju świata. Obyż on rychło ponad wrzawę dzisiejszej burzy się przebił! Dosłyszenie pobrzęku lutni w tej burzy, byłoby nam pomyślną wróżbą rychłego jej przesilenia. Bo zawsze jeszcze jest poezya tą ptaszyną przybrzeżną, której zaświegotanie nad wędrownym okrętem zwiastuje mu po długiej podróży przystań pobliską—jest zawsze jeszcze gołębicą potopu.

OBRAZEK
z czasów Stanisława Augusta,

Przez *A. Gorczyńskiego.*

(Ciąg dalszy.)

Kapral prawił dalej:

„Ażtu dzisiaj dopiero, zaczyna mi wyłazić to jedna to druga, jak króliki białę; ażtu przychyl mi krzyża panie, szarf, przeleciało coś; zbaw mnie trybunale niebieski: jaka ładna! Ja do pana kuchmistrza, bo właśnie szedł z rondelkiem."

„Panie kumie, mówię; z przyzwoleniem pana porucznika ja się tu pokumał z dobrymi ludźmi..."

„I coż dalej? cóż? mówże, dokończże —" wpadł mu w słowo zniecierpliwiony oficer.

„*Teremtędy* prosto idę za przyzwoleniem pana porucznika. Otoż to była moja krajanka, panie poruczniku."

„I tu bawi? coż za jedna?" pytał oficer.

„Jak mi bóg miły, szlachcianka z pradziada."

„To szlachcianka?" — powtórzył dziwnie pomięszany oficer."

„Karmazynowa panie poruczniku, moja krajanka panna Kostowiczówna, panna szarf, a buzia jak migdałek, a o jej ojcu to pan porucznik nic nie słyszał?

Opoki się twarde krają,
Słońce, gwiazdy omdlewają.—

Za przyzwoleniem pana porucznika; już to harcapa nie nosił, ale w całej naszej konfederacyi nie było większego wąsa, jakbyś ręce rozkrzyżował, a jaka szabla! Przychyl mi krzyża, komu wrąbał pamiątkę, ten ją wziął z sobą na tamten świat, i po drugą nie przyszedł. A kiedy komu co dał, to mu rzekł: Na masz *Szwedzie*, nie chodź po capstrzyku. Za przyzwoleniem pana porucznika, każdego *Szwedem* nazywał. Już to falował w tem, że szeplenił, ale we dwie rzeczy wierzył, w pana boga i w krzyżową sztukę; drugie przecie mu skrewiło, płacz miłe serce! Owoż *teremtędy* tam, zrobiła się panie poruczniku wycieczka. Smutno mi, noc oko wykól, ale szło szarf! pozabijało się co tylko było, aż tu za przyzwoleniem pana porucznika jak lunie z nieba, przyszła kryska na matyska... jesteś w niewoli!

Zasłona się potargała,
Rwie się ziemia, ryczy skała.

Źle, krucho, serce płacz, nazajutrz dzień, patrzę gdziem? w stodole, a obok leży, kto? pan Kostowicz posiekany na zraz; żal się duszo. Poznało mnie przecie nieboraczysko i zaraz do mnie: A ty kpie, co ty tu robisz? A potem jak zaczął, kpił do samej zimnej śmierci."

„Umarł z ran?" zapytał oficer.

„Ho, ho panie poruczniku, Bóg wie co on zrobił, bo to panie poruczniku uparta w nim była dusza. Nim on skończył, wiele upłynęło krwi i czasu. Kazał mi pozdrowić żonę a potem i syna. Otoż to panie poruczniku, ta panna to jego syn."

Zgniewany oficer zaczął się niecierpliwić.

„Bo to panie poruczniku odjechał był żonę a była przy nadziei z pierwszem; więc mówił, rzecze: Jak świat światem, jeden Kostowicz musi być na świecie; ale tylko jeden, bo dwóch razem toby z przyzwoleniem pana porucznika, świat rozwalili, otóż, że mu na śmierć szło, był pewny syna, ale żona mu skrewiła, i powiła córę, a nieborak z tej przyczyny może żyje gdzieś tam; bo już to taki prognostyk panie poruczniku, jeden Kostowicz musi być na świecie, nic nie pomoże."

Długiem gadaniem przyschło znowu w gardle panu Matyaszowi i spojrzał na dzbanek, oficer milczał zadumany w sobie, a skoro spełna zaspokoił swoją ciekawość, dowiedziawszy się od kaprala, że panna Kostowiczówna bawi na dworze pana starosty, w charakterze panny respektowej, chciał odprawić gadułę; ten wszelako nim odszedł, po długiej gadaninie wyjawił, że panna Kostowicz pytała się o pana oficera, że go słyszała grającego na flotrawersie; że nareście to granie bardzo jej się podobało.

Oficer rado wysłuchał tej kapralskiej spowiedzi, ten odchodząc zostawił pana porucznika w dziwnie wesołym humorze.

Atoli po upłynionej godzinie, wchodzący do pokoju lokaj ze zrazami i kaszą hreczaną, zastał go smutno zamyślonego; siedział przy stole, w swym ręku trzymał damski trzewik, za posłyszanym szelestem wchodzącego wsunął go za westkę mundurową, ukrył przy piersiach; a twarz jego okazała jakieś pomieszanie i niespokoj.

* * *

Wypada nam teraz przenieść czytelnika w tę część Suchowolskiego pałacu, którą zamieszkały nie-

wiasty; w grono męskich postaci wprowadzonych na scenę zaprosić i damy.

Zamilczenia takiego o białych pałacu mieszkankach była następna okoliczność przyczyną.

Odgłos bębna, od którego zadrzały szyby u okien dworu, pojawienie się na podworzu 40 żołnierzy z karabinami, bagnetami i szablami, rzuciła taki popłoch na serca niewieście, taką bladość na ich twarze, jaką tylko wieść o Tatarach albo widok hajdamackiej zgrai wywołaćby zdołał; zakwaterowanie wojska w oficynach pałacu sprawiło, iż ze strony panny chorążanki — później będzie o niej — wyszedł ordynans dotyczący się osób żeńskiego rodzaju do dworu należących. Ordynans ten surowo zalecał każdej niewieście jakiego bądź wieku i stanu, ażeby, dopóki wojsko z tym strasznym oficerem zostawać będzie na załodze w pałacu, za próg swojego pokoju, do okna nawet bliżej jak na trzy kroki zbliżyć się i broń boże! wychylić niepoważyła się żadna. Wskutku takiego mandatu wydanego z gabinetu panny chorążanki rzeczywiście żadna z niewiast dworskich, z respektowych panien żadna przez dni cztery nieokazała się na podworzu ani nawet w oknie, jednę wyjąwszy, która za przekroczenie tego zakazu utratą trzewika skaraną została.

Po upływie wszelako dni kilku, kiedy z tych 40 karabinów żaden nie wystrzelił, pałaszami nie zrąbano drzwi żadnych, bagnetem jednej nawet szyby nie wybito, a pan oficer zamiast dom zburzyć, chodził po kurytarzu tak cicho, przygrywał na flotrowersie tak pięknie, nawet o szklankę wody prosił tak grzecznie, przekonała się panna chorążanka z zadziwieniem nie małem, że i djabeł nie taki straszny, jak go wymałowano; zaczynała powoli oswajać się z błyskiem bagnetów, jej delikatne uszko nie potrzebowało już bawełny każdego wieczora, kiedy na capstrzyk bębnić zaczęto i na piszczałeczce przygrywać. Gdy nadto zaprowadzenie klauzury połączone było z niejedną niedogodnością domową i subjekcyą, panna chorążanka powoli wolniała w rygorze, i rozkaz tyczący się białogłowskiego dworu, lubo nie odwołany zupełnie, zmodyfikowano jednak do tego stopnia, że nasz oficer otrzymał pewnego ranka uwiadomienie przez lokaja, że panna chorążanka, o której słyszał że prowadziła rządy niewieście w tym domu, życzy sobie go poznać zbliska i do swoich apartamentów na kawę zaprasza, o punkt czwartej godzinie.

Był to dzień szósty jego pobytu w Suchowoli, nazajutrz po dniu, w którym miał tę przygodę ogrodową. To wezwanie, jakkolwiek było mu nader miłe i pożądane, nabawiło go przecież trwogi nie małej; lękał się bowiem spotkania z osobą, z którą tak nieprzyzwoicie się zachował, którą obraził i pogniewał. Bo odkąd się dowiedział, a raczej domysłem odgadnął, że ta przysłuchująca się jego graniu dziewczyna, nie była prostą garderobianą, ale panną respektową znakomitego domu i szlachcianką, już wspomnienie o tej przygodzie altankowej stało mu się przykrem, leżało na sercu jego cierniem, na sumieniu kamieniem. Do tych niemiłych i niepokojących go uczuć, przyłączyła się litość, obudzona w nim, przywiązał się jakiś niepojęty i niewytłómaczony smutek, który wsnuwał się w każdą myśl o pokrzywdzonej przez niego. Z tych myśli jego związała się cała trosk chmura a jednak i gwiazda nadziei przyświecała jemu, że ładną pannę Kostowiczownę może obaczy, może nastręczy mu się sposobność zbliżenia się do niej, może dozwolonem mu będzie pomówić z nią, zagniewaną przeprosić, przebaczenie winy pozyskać. W dopełnieniu tych marzeń, w nadejściu tej chwili mu obiecanej upatrywał słodką pociechę.

Zegar zamkowy wskazywał dopiero trzecią godzinę, nasz oficer był już w swojem zupełnem ubraniu i stroju; po dziesięćkroć stawał przed swoją wojskową toaletką, poprawiał raz westkę, to znowu szarfę, szczotką od pudru tupetował czuprynę, układał loczki, rozwięzywał harcap. Nigdy w życiu nie okazywał tyle w ubiorze swojem staranności, i tem zajęciem się toaletą skracał chwile leniwo płynącej godziny.

Pokój bawialny Suchowolskiego pałacu, którego podwoje otwierały się tylko dla dostojnego gościa, był okazały swoją obszernością, ozdobny przybraniem ścian obitych adamaszkiem. Na suficie rysowała się w gipsowej rzeźbie tarcza, piastująca klejnot starożytnego domu, z niej zwieszał się szklanny świecznik na sam środek pokoju.

Na okna zaciemnione *żaluziami* spuszczały się ciężko aż do samej ziemi firanki jedwabne. Meble w pokoju były owoczesnej mody; Gdańsk dostarczał je polskim pałacom i zamkom. Pod zawieszonem na środkowej ścianie zwierciadłem, którego rama upstrzona w złote róże, listki i girlandki, koronką sięgała sufitu, stała, gdyby pokoju tego pani, kanapa; od niej szły dwoma rzędami krzesła na niskich nóżkach stojące, a jednak wysokie swoją poręczą, na której nie tylko plecy ale i głowę wygodnie oprzeć było można.

Krzesełkami obstawione były wszystkie cztery ściany pokoju; tylko między oknami miasto krzesełek przyparte do ściany stały stoliczki, półkoła formujące, których nóżki w kabłąk wygięte, tuliły się do ściany. Nad każdym stolikiem wznosiło się wązkie, wysokie zwierciadło. Takież wisiało na ścianie kominowej, a w niem odbijały się porcelanowe osóbki, na

gzymsie komina ustawione w rzędzie; i bronzowa figurka Plutona. Bożek ten pochylony nad zegarem trzymał swój młotek wzniesiony do góry, budząc się co kwadrans, bił w metalowe bębenki, któryto ruch ręki i młotka powtarzał jego obraz w zwierciedle odbity.

Wchodzącego do tego pokoju owionęła jakaś chłodna aura, a cisza w nim zwyczajna i ciemność, której nie rozweselało światło dzienne łamane o żaluzie, czyniły nie tylko na obcym, ale i na domownikach, rzadko wstępujących do bawialnej komnaty wrażenie niemal podobne temu, jakiego się doświadcza, do próżnego kościoła wstępując.

Takiego wrażenia doznał nasz oficer wchodząc do tego pańską okazałością pyszniącego się pokoju. Bicie serca, które mu towarzyszyło w przechodzie przez długi domu korytarz, podwojone za wstąpieniem do pokoju, przeszło w drescz, co przebiegał po ciele, i niemal oddech tamował jego piersi.

Atoli rzuciwszy okiem dokoła, gdy w pokoju jedną tylko spostrzegł damę, a tej, której się spodziewał, którą ujrzeć pragnął, nie dostrzegł, bicie serca zwolniało, był spokojniejszy ale smutniejszy. Spostrzeżona przez niego dama siedziała na kanapie.

Byłato panna chorążanka, nazwana tem mianem za czasów panowania ostatniego Sasa. Chociaż w tem gronie motyli, co składały hołdy liliom jej twarzy, znajdowali się ludzie stateczni i fircyki, przecież lilii tej — piegowatej nieco — nie wplótł żaden do ślubnego wianka.

Utraciwszy matkę, która jedna była stałą wielbicielką wdzięków córki — ojciec umarł był kilkoma laty wcześniej, w rocznicę exdywizyi, co zawitała do jego progów — chorążanka zamieniła Warszawę na dom bratanka swojego starosty, wdowca i ojca kilkorga drobnych dzieci.

Od tej pory spłynęło lat kilkanaście. Chorążanka wierna modzie, zakrojowi sukień i ustrojowi głowy, który młodszym jej wdziękom tyle dodawał powabu, w którym odebrała tyle hołdow, samego nawet króla Augusta admiracyę pozyskała, nosiła suknię na rogówkach i obręczach, a jej twarz występowała na galę zawsze w pudrowym włosów obłoku, zawsze w muszkach, które z przeciągiem czasu jakby się rozradzały, bo liczba ich ciągle się powiększała, i przybierały co raz to inne kształty, zmieniały miejsca swoje.

Z toalety panny chorążanki łatwo można było odgadnąć, iż na przyjęcie oficera z regimentu Czapskiego zapragnęła wystąpić z całą gotowalnią. Jej głowa była wysoko mączasto wypiętrowana, kilka czarnych muszek podnosiło blask blanszu i żywość różu; jedna blisko oka udawała gwiazdę, druga długą pijawką ciągnęła się środkiem czoła, nad przednią wargą czerniła się trzecia, czwarta maleńka jak główka od szpilki przylgnęła do brody.

Jej zwierzchnia roba cała w kwiatach, z nisko wyciętym gorsem, od którego odwijała się szeroka koronka Brabantu, pokrywała pół kanapy swoją rozdymającą się u dołu szerokością, w której nie zatonęła jednak nóżka, owszem zpod haftowanej spodnicy wysunięta, o taborecik oparta, pokazywała trzewik uposażony wysokim korkiem.

Toalecie panny chorążanki dodawały blasku kulczyki na kilka cali długo spuszczone od usz, naramienniki na rękach i pierścienie na palcach, błyszczące przez siatkę nicianych rękawiczek. Swietności przydawał szeroki złoty łańcuch na szyję zarzucony, u ktorego wisiał krzyż — sukcessya po nieboszczyku kanoniku krakowskim, stryju chorążanki — obok medalionika wyjętego z tabakiery, którą nieboszczyk ojciec od króla jegomości w podarunku był otrzymał.

Tak przystrojona chorążanka, ogromny wachlarz w jednym ręku, w drugim flaszeczkę trzymając, siedziała w samem środku kanapy — obrócona twarzą do zwierciadła, które na przeciwległej ścianie zawieszone, powtarzało wiernie każde mrugnienie powieki, każde wdzięczenie się twarzy wąskiej, z noskiem w górę zadartym i z maleńkiemi oczkami, nad któremi wypukłe rozszerzało się czoło, nakrapiane żółtemi centkami piegów.

Przed chorążanką sandomirską stał teraz młody oficer polski, w swoim ponsowym mundurze; w fryzurze obrzuconej pudrem, z wałeczkami nad skronią, harcapem z tyłu, z cienką szpadą u boku. Gdyby siłą czarodziejskiej rószczki dwie te osoby razem z miejscem, w którem się znajdowały, przeniesione być mogły o mil 300 do sentymentalnego zameczka Trianon, znalazłyby się zapewne w przyzwoitszem miejscu, jak w polskiego szlachcica siedzibie, w tym domu z drzewa zbudowanym, a otoczonym polskiemi stodołami i słomianą wioską.

Na wejście oficera podniosła się z kanapy chorążanka i stanąwszy na palcach, spuściwszy oczy, prosto horyzontalnym dygiem skłoniła się wchodzącemu i siadła znowu. Ukośne spojrzenie rzuciła na twarz, mundur, rękę i nogę oficera, potem na zwierciadło, czyniąc poruszenia głową, które wyrazić miały wykwintną sentymentalność, połączoną z przyzwoitą jej stanowi skromnością. Oficer przystąpiwszy bliżej, głosem nieco pomieszanym oświadczył, ile mu miło pełniąc rozkaz damy, zaprezentować się jej godnej osobie. Chorążanka wdzięcznem mignieniem oczu i giestem wachlarza odpowiedziała na komplement gościa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wspomnienie pośmiertne.

Kiedy bohaterom, którzy w obronie praw narodowych polegli śmiercią walecznych, całe narody wspaniałe stawiają pomniki, kiedy mężom w naukach lub rzemiośle zasłużonym pyszne budują statuy ich czciciele — kiedy męczenników, którzy gorącą miłością ojczyzny natchnieni, śmierć ponieśli z rąk katów, wdzięczną a niewygasłą pamięcią czczą plemiona — niechaj mnie wolno będzie, w imieniu całego nieszczupłego kółka uwolnionych więźniów stanu, temi kilku słowy uczcić zmarłego towarzysza.

Niechaj mi wolno będzie, uronić jedną łzę żalu i boleści i zlać ją z morzem łez, wylanem w dniach smutku i niedoli przez siostry i matki nasze, z morzem łez gorących, które miękczyły zatwardziałe serca wrogów i ciężkie żelaza nasze, — niechaj mi wolno będzie jedno dorzucić westchnienie do tylu westchnień, które bez echa i wieści obiły się o ciemne mury więzienia i w nich zaginęły, — niechaj mi wolno będzie jękiem żalu i współczucia zawtórzyć jękom, które przez lat siedmdziesiąt, jak łkania pokutujących grzeszników przez całą tętniły Polskę.

Przed niewielu dniami, zabłysły światła na zachodzie i wysłały pierwszy promień na niebo nasze, promień, zwiastujący pierwsze swobody długo ciemiężonemu krajowi, pierwszą jutrzenkę wolności. Lecz my porwani szałem młodzieńczym, natchnieni gorącą miłością ojczyzny, długo w piersiach tajoną, nie myśleliśmy wcale, że promień ten, który tak rozradował zbudzone dusze nasze, zwiastuje razem wschód słońca i gromy, które jeszcze miały w Polsce uderzyć, nie sądziliśmy wcale, że promień ten, jak błędne nocne światełko, jak złowieszcza łona pożarów z roku czterdziestego szóstego, przyświecać będzie nowym gwałtom najezdców, nowym mordom i bombardowaniom starych stolic naszych; że jak lampa grobowa blade światła roześle na twarze konających ofiar, na ciała pomordowanych braci...,... na groby śmierci i olbrzymie mogiły.... na nowe katusze i śmierci i podwojone męczarnie.....

Dziki absolutyzm kona — lecz kona śmiercią jadowitego zwierza, śmiercią rozwścieklonego niedźwiadka — Jeszcze w chwili skonania, pryska jadem i ogniem w około, niszczy, cokolwiek w konwulsyjnych drganiach swoich dosięgnie, ściele trupem tych, którzy mu skonu przybliżyć pragną, a idąc pogrzebowym pochodem, porywa z sobą tych, którzy dawniej od niego ranieni, mieli w ciałach swoich zaród niszczącego życie a przezeń zaszczepionego pierwiastku.

Do ofiar bowiem, które zdradziecko napadnięte, męczeńską śmierć ponieśli z rąk bratobójców, do ofiar, które w wilgotnych skonały więzieniach, do tych ofiar których ciałami zasłano pola Wielkopolski i ulice miasta Krakowa, do tych dwóch ofiar wreście, które z rąk katowskich, za świętą sprawę narodu zginęły śmiercią męczenników, policzymy dziś jedną, i może jeszcze nieostatnią ofiarę.

Kajetan Dydyński, były więzień stanu, uwolniony ze Szpilbergu, na dniu 14 b. m. zakończył życie, od dwu lat przeszło prawdziwie męczeńskie, w Sielnicy w obwodzie Sanockim.

Młodzieniec ten, przez krótki bieg życia swego, odznaczył się wielkiemi cnoty domowemi, gorącą miłością ojczyzny, poświęceniem się sprawie narodowej, z całą siłą młodzieńczego zapału i energii.

Abowiem zaledwie pacholikiem będąc, rozmiłowany w dziejach ojczystych, poświęcał największą część czasu ich zgłębianiu. Dawna świetność i siła narodu, sława mężów zasłużonych ojczyznie, świetne zwycięzstwa, odniesione nad jej nieprzyjaciołmi, porównane z historyą siedmdziesięcioletniej niewoli, porównane ze zbrodniami które na ojcach naszych i na nas popełniono, zestawione z dziejami ucisku, męczeństwa i nieszczęśliwych dotychczas usiłowań wybicia się na niepodległość, wytrwałość i cnoty mężów, które poświęciwszy się sprawie krajowej, ponieśli śmierć z rąk katowskich lub jęczą dotychczas w kopalniach Sybirskich; — roznieciły w nim żywy płomień miłości tego kraju, którym do chwili zgonu serce jego przepełnione było.

Konarski, Zawisza, Dziewicki, i inni im podobni święci mężowie Polacy, którzy w latach najsroższej niewoli, uciemiężenia zajaśniali czynami poświęcenia i odwagi, zostawili niezatarte ślady w męzkiej duszy jego, a cnoty ich zniewalały go do naśladowania ich na tej drodze. Od pierwszej młodości więc starał się wpływać moralnie na otaczające go grono, a wierny zasadom, na prawdzie boskiej opartym a przez cały naród przyjętym, z niezmordowaną gorliwością rozszerzał, o ile zakres jego działania i jego zdolności sięgały, miłość ludu i prawdy, miłość ojczyzny i przyszłej Polski ludowej zasady. Tym zasadom ściśle odpowiednie było jego obchodzenie się z ludem, który szczerze umiłował i przyszłe szczęście zapewnić mu pragnął.

Wszakżo pomimo to, iż pierwszą przyczyną jego ciężkiej i blisko trzy lat trapiącej go choroby piersiowej, było doznane od ludu wiejskiego w roku 1846 prześladowanie, przebaczył mu zupełnie ze szczerego serca, i nie cierpiał nawet przypomnienia tej chwili, kiedy lud ten własnemi nogami zdeptał tych, którzy za jego wolność i swobodę postanowili wszystko poświęcić.

W roku 1845 kiedy zabiegi przedrewolucyjne i propaganda silniejsza w naszej także poczęła się szerzyć

prowincyi, znalazło dzieło zbawienia gorliwego i niezmordowanego w nim zwolennika. Zakres jego działań, acz nie rozległy, jednakowoż szerokie chcącemu dawał pole do czynności, a obowiązki jakie przygotowujące się powstanie na każdego obywatela wkłada, z gorliwością i sumiennością wypełniał.

Nadszedł luty, a z nim termin wybuchnąć mającego powstania. Wtedy i on zawsze stale trzymając się drogi raz wytkniętej, przeczytawszy znajomą wszystkim, a w tem powstaniu przyjętą proklamacyą do ludu, chwycił za broń, i pośpieszył połączyć się z tymi, którzy w imię krzyża świętego i odradzającej się Polski, ruszyli na śmierć lub zwycięztwo.—

Skutki jakie wszystkich spotkały, nie ominęły i jego. Wściekłe tłumy rozhukanego ludu, ludu, dla którego on wszystkie najdroższe swojego życia poświęcał chwile, ludu zdradziecko podszczutego przez zgraje podłych służalców, porwały go i skatowanego i związanego rzuciły w paszczę krzywoprzysięgłych sędziów, paszczę napełnioną jadem i zgotowanemi dla nas katuszami, ziejącą ogniem, kajdanami i szubienicami....

Zaraz w pierwszych chwilach uwięzienia, poczęła się jego choroba, dusznością w piersiach i ustawicznemi krwiotokami. Troski o rodzinę i wspólnie z nim uwięzionego brata, zgryzoty w skutek nieszczęść, które kraj nieszczęśliwy po raz milionowy dotknęły, tęsknota za domem, uczucie ominionej nadziei, powiększały i wzmacniały jego chorobę od dnia do dnia. Po kilkunastomiesięcznem uwięzieniu we Lwowie, porwano go półmartwego, przez pół wyschniętego, włożono 15 funtowe krzyżowe żelaza i bez względu na słabe siły jego, odwieziono go do lochów Szpilbergu na jeszcze sroższe katusze. Ciężkie więzienie, podwojone zmartwienia, wspólnie z tęsknotą za krajem, pozbawiły go sił żywotnych do reszty, tak, że we 3 miesiące po uwolnieniu śmierć go zmiotła, w dwudziestym ósmym roku życia.

Taką nagrodę odebrał za najwyższą cnotę i najgorętsze poświęcenia.

Na dniu 17 b. m. pomimo ulewy i wezbrania Sanu, zebrała się licznie zmarłego rodzina i towarzysze jego więzienia, na których obecnie w żadnym nie braknie obwodzie, aby ostatnią oddać zmarłemu posługę.

Łzy rzewne, łzy nieutulonego żalu ojca, rozdzierały serce i skłaniały pomimowoli każdego przytomnego do najwyższego współczucia, a kajdany, wywiezione przez nieboszczyka ze Szpilbergu, położone na trumnie, napawały nas jakiemś rzewnem, nieokreślonem uczuciem pół-oburzenia, pół-zemsty, pół-litości najwyższej, pół-tęsknoty za taką zaszczytną śmiercią.

Tak pochowaliśmy jeszcze jedną ofiarę — owoc niedawno co wygluzowanego absylutyzmu.

Daj boże, aby ta ofiara była ostatnią! Nie dla tego ażebyśmy szczędzić chcieli ofiar dla ukazującej się nam przyszłości narodu, nie dla tego, ażebyśmy skąpili krwi naszej dla odkupienia naszego — Ofiar i krwi naszej nie braknie, nakarmim nią i napoim tę nienasyconą hydrę, i póty nie ustaniem, póki ona ostatnią nie padnie ofiarą, albowiem: *Sanguis martyrum est renovatio novorum.*

Nad Sanem 20 lipca 1848.

Zygmunt Kaczkowski.

Temi dniami wyszło „Kilka piosnek zpoza krat Lwowa i Szpilbergu, przez *Zygmunta Grochowalskiego.*“ Przedpłaciciele mogą je odebrać albo u osób, które się rozdawaniem biletów zajmowały, albo też u autora, w domu Sznajdera przy ulicy Ormiańskiej pod nrem 100.

Stroje.

Damskie. Oto jest opis całkowitego ubioru. Suknia jedwabna w pasy czerwone i szafirowe, spodnica ubrana trzema falbanami, z czarnych koronek, stanik otwarty z przodu, z wyłogami koronkowemi, rękawy długie gładkie, przykryte czarnemi koronkami, zarzutka biała morowa, bardzo obcisła w stanie, zaokrąglona z przodu. Kapelusz krepowy, ukrany bukietem róż.

Męzkie. Surdut z długim stanem, kamizelka prosta z małemi klapami, spodnie letnie, taśmą obszyte po bokach.

Rycina przedstawia: Suknia jedwabna ubrana trzema falbanami, które spodnicę całkiem zakrywają, stanik gładki z długim szpicem; rękawy krótkie falbanką obszyte; szmizetka muszlinowa. Kapelusz biały krepowy, bukietem róż ubrany.

Ubior dziecka. Suknia muszlinkowa, spodnica ubrana z przodu, z siedmią małemi falbankami haftowanemi, stanik wycięty i tożsamo falbankami ubrany. Majtki krótkie muszlinowe haftowane.— Tudzież ubiór letni dla mężczyzny.

Redaktor odpowiedzialny KAROL SZAJNOCHA. *Wydawca* TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.